TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 11. *Chicago, Ills., 10 Września, 1885 r.* Rok II.

JASKINIA POTEPIENCA
POWIEŚĆ

— PRZEZ —

FR. XAW. TUCZYNSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Każesz mi powiadać, zkąd cię znam, — mówiła urywanym głosem Zingura, patrząc na Miecznika, — powiem... wiele tego nie będzie.

Raz widziałam jakąś panią, której twarzy dojrzeć nie mogłam, a przy której także i wy panie jechaliście. Nic wtedy od was nie żądałam, a jednak kazaliście służbie mnie chwytać, nazwaliście mnie czarownicą. Służba skoczyła za mną, ale ja, wtenczas jeszcze krzepka, zdołałam uskoczyć na bok, a kiedy pogoń szukała mnie po lesie, ja nade drogą spokojnie sobie biegłam. Później połączyłam się z moim oddziałem i przeszłam z nim razem do Rosyi, gdzie zabawiłam długi czas. Gdym znowu razem z drugimi cyganami przeszła granicę Polski, bawiłam się w różnych okolicach.

Minęło lat kilkanaście włóczęgi po Polsce— syn mój zapomniał innego języka, mówił tylko po polsku, dla tego wstrzymywałam jak mogłam oddział nasz od wyjścia z tego kraju, pomimo, że konfederaci i Moskale w oczach naszych nieraz krwawe staczali boje.

Cygan jest tułaczem: w każdym kraju jest gościem i nie troszczy się ani o rząd ani o prawa tego kraju, w ktorym przebywa. Inaczej było z moim synem Muringiem...

Oddział nasz razu jednego spoczywał w lesie. Niedaleko od nas słychać było rżenie koni i widać błysk ognia obozowego. Muringo nie mógł znieść tego widoku; rzekł tedy do mnie:

— Matko! puść mnie, niech razem z Polakami walczę naprzeciw najezdzcy.

— Cóż tobie do najezdzcy? — odpowiedzia-

łam, — tyś cygan, cóż cię więc obchodzi Polak lub Moskal?

— O! matko, matko! — odrzekł na to głosem rzewnym, — ty nie wiesz, jak serce moje bije gorąco dla sprawy tego narodu, pomiędzy którym tyle lat przeżyłem! Ja go tak kocham, że życie dałbym za niego.

Że on kochał Polaków, o tem wiedziałam dobrze i wzbraniać tego wcale nie myślałam; jednakże pozwolić na to, aby swe życie naraził, ani w myśli nie miałam. Zresztą ciało jego było nie wytrzymałe na trudy obozowe, a broni nigdy jeszcze w ręku nie miał.

Odmawiałam mu tedy, jak mogłam; syn zdawał się usłuchać tej rady, i już cały dzień nie wspomniał o konfederatach.

Obóz nasz był we wielkiem niebezpieczeństwie, bo z jednej strony zagrażali nam Moskale, a z drugiej nie mniej konfederaci. Postanowiliśmy tedy zaczekać do nocy, aby cichaczem wymknąć się niebezpiecznym sąsiadom.

Tak się też stało. Ucieczka udała nam się pomyślnie i jeszcze tej samej nocy doszliśmy aż do lasku, z którego przy świetle księżyca można było zobaczyć prześliczny pałac, leżący tuż za laskiem.

W pospiechu, z jakim zabraliśmy się do ucieczki, był każdy tylko sam sobą zajęty i nie troszczył się zanadto o drugiego, dla tego nie uważaliśmy, że Muringa brakowało pomiędzy nami; dopiero nieobecność jego spostrzegliśmy, gdyśmy obóz na nowo rozbili. Różni różnie sobie to tłumaczyli, ale ja zaraz się domyślałam, że uciekł do obozu konfederatów!

———

Tu staruszce zabrakło oddechu. Opuściła głowę, zamknęła oczy i przez kilka chwil spoczywała nieruchomie.

Miecznik, a nawet i Stolnik z rodzajem uwielbienia spoglądali na cygana Muringa, klęczącego wciąż obok łoża Zingury.

— Mości Stolniku! — szepnął Miecznik zagadnionemu do ucha, — naprawdę, to niepospolity człowiek. Chociaż on cygan, jednakże go prawie kocham; szkoda, że to cygan!

Stolnik nic na to nie odpowiedział, bo Zingura już otworzyła oczy i zaczęła mówić dalej:

———

— Serce mocno mi zabiło, gdym spostrzegła nieobecność syna. Zrozumiałam zaraz, że jest w obozie konfederatów. Zapłakałam z obawy, aby mi go Moskale nie zabili. — Nie miałam nigdy innego dziecięcia — Muringo był mi najlepszem dzieckiem, dla tego kochałam go i kocham jak me własne życie, a nawet bardziej.

Tej samej chwili wróciłam się na to samo miejsce, zkąd przed chwilą obóz nasz uciekł. Nie obawiałam się teraz niczego, śmiało biegłam pomiędzy dwoma nieprzyjacielami, bo myśl moja siliła się tylko na sposób odszukania syna. Postanowiłam przedrzeć się do obozu konfederackiego i tam albo syna łzami zmiękczyć do powrotu, albo naczelnego dowódzcę prosić o wydalenie go z obozu.

Ostrożność radziła, aby się pokryjomu przedostać przez posterunki, które jak uważałam, stały bardzo gęsto, a które byłyby mnie na pewno przyjęły jako szpiega moskiewskiego, lubo szpiegiem nie byłam, a nawet syn mój w tej chwili znajdował się w obozie i może teraz ostrzył szablę na wroga Polski. Szczęśliwie dostałam się aż do pierwszej placówki. Księżyc pięknie świecił. Korzystając z cienia drzew zbliżyłam się pełzając coraz ku obozowi. Naraz usłyszałam szelest, podniosłam się i tam...

— Zobaczyłaś mnie! — domówił Miecznik mocno opowiadaniem Zingury zajęty.

— Tak zobaczyłam, — mówiła dalej Zingura. — Przelękłam się niesłychanie, sądząc, że będę jako szpieg schwytana, ale moje przelęknienie wzrosło jeszcze bardziej, kiedyście na mnie broń wymierzyli. Niebezpieczeństwo, w jakiem się znajdowałam, wróciło mi przytomność; uskoczyłam na bok kilka kroków i schowałam się w krzak leszczynowy. Szukaliście mnie, ale na szczęście moje nikt do owego krzaka nie zajrzał. Siedziałam tak nieruchomie aż do samego rana; obawiałam się poruszyć, aby się nie zdradzić — aż nareszcie strudzona zasnęłam.

Jakiś wrzask nagle przerwał mi sen. Obudziwszy się, zaraz zrozumiałam przyczynę: bitwa wrzała tuż koło mnie. Struchlałam, bo kule jak pszczoły latały koło mej głowy, ale więcej aniżeli świst kul przerażała mnie myśl, że mój Muringo znajduje się pomiędzy walczącymi. Chciałam powstać, ale nie mogłam; chciałam krzyczeć, ale głos zamarł mi w piersi. Wyraźnie widziałam przez gałęzie krzaka walczących! Widziałam was panie, jak na czele jazdy gna-

liście na nieprzyjaciela, a pomiędzy jeźdzcami dojrzałam i... Muringa!...

Okrzyk głuchy wyrwał mi się z piersi. Widziałam Muringa na koniu, — a nigdy dotąd na koniu nie siedział; widziałam go z podniesionym mieczem — nigdy dotąd miecza w ręku nie dzierżył. Okropny to był dla mnie widok!

Z boku piechota moskiewska strzelała gęsto; kule dochodziły do krzaka w którym siedziałam ukryta. Jedna kula zerwała mi z głowy chustkę, inna osmaliła mi włosy, inna przedziurawiła suknię: ja nic na to nie uważałam, bo oczy moje wytężone były na Muringa!... Wreszcie tuman kurzu zakrył przedemną oddział jazdy — nic nie widziałam, tylko słyszałam wystrzały, chrzęst mieczów, rżenie koni i jęk rannych. Zemdlałam... Niedługo jednakże zbudziłam się, bo serce moje przeczuwało, że ręka cygańska niewprawna do robienia mieczem, nie podoła moskiewskim dragonom...

Dragonia została pobitą, konfederaci wracali, ale Muringa między nimi nie było!....

Wyskoczyłam z za krzaka i na nic nie zważając, pobiegłam na pole bitwy. Nikogo tam nie było, tylko trupy i ranni, Polacy i Moskale. Wnet serce moje zaprowadziło mnie do Muringa... Leżał na ziemi skrwawiony .. Z głośnym płaczem rzuciłam się na niego, myśląc, że mój kochany Muringo już nie żyje — ale Bóg litościwy nie chciał mnie jeszcze osierocić. Muringo lekko tylko był szablą cięty przez głowę. Niedaleko była woda; przyniosłam jej w ustach i w dłoniach, obmyłam ranę, obwiązałam chustką i Muringo odzyskał wnet zmysły, a nawet o tyle i siły, że powstał i poszedł ze mną, chociaż z wielką trudnością. Zaprowadziłam go do naszego obozu. Nie szło to jednak tak łatwo, bo co kawałek padał na ziemię, a nawet dźwigać go do góry musiałam, gdyż nie miał mocy powstać po upadku.

W końcu jednakże stanęliśmy w obozie naszym w lasku niedaleko pałacu... Był też już i czas wielki, bo tam padł omdlały, żeśmy go ledwo dotrzeźwić mogli... Wiadomo, że my cyganie znamy się na gojeniu ran, a mianowicie ja, która już wiele dziesiątków lat żyję na świecie. Znam zioła, które bardzo skutkują, dla tego, skoro tylko Muringo zmysły odzyskał, chciałam wyjść na pole, aby urwać skutecznego ziela. Gdym wychodziła na drogę, zobaczyłam was panie, znowu jadącego na koniu.

O! panie! na wasz widok różne uczucia mną miotały. Widząc, żeście ranny, uczułam niejako radość, że nietylko sam Muringo został w bitwie ciętym... ale znów z drugiej strony zabiło mocniej serce moje na widok bohatera, którego z dobytym mieczem widziałam dzisiaj na polu walki.

Ciekawie wysunęłam się z po za krzaka, aby tego człowieka, któregom w tak różnych okolicznościach mego życia spotykała, lepiej zobaczyć Moja ciekawość jednakże była nagrodzona wystrzałem...

Kula minęła mnie, ale wystraszona uciekłam... Słyszałam nawet wołanie za mną, słyszałam głos łagodny... ale mogłamże zawierzyć temu, który bez żadnej przyczyny na me życie godził?

Tu znów staruszkę opuściły siły. Opadła bezwładna, zamknęła oczy, zatrzymała oddech i leżała jakby już umarła. Muringo przelękniony zerwał się do góry i z głośnym narzekaniem rzucił się na ciało swej matki, ale ta skinieniem ręki dała znak, że żyje i aby był spokojny.

Pani Stolnikowa i Miecznikowa do żywego tknięte tem co słyszały, przeszły do mężów i z ciekawością wpatrywały się w żółtą twarz Zingury.

Nikt z obecnych słówka przemówić nie śmiał, mianowicie Miecznik, którego opowiadanie Zingury najwięcej interesowało. Niemo wpatrywał się w staruszkę, którą byłby może niewinnie zabił, gdyby przypadek temu nie był przeszkodził. Wreszcie wzrok jego padł na Muringa. — Ów człowiek, który jemu, Stolnikowi i Stolnikównie życie ocalił, o którym teraz tyle na Turaju opowiadano... ów cygan, walczył za całość Polski, a to nawet pod Miecznika dowództwem!... Nie dziw więc, że całem sercem przechylił się na stronę cygana.

Stolnik znowu walczył teraz ze sobą, nie wiedząc, czy kochać, czy też nienawidzieć tego, który, prawda, wiele dobrego zdziałał, ale też jedyną córkę jego wpędza w mury klasztorne, a tem samem pozbawia go jedynego dziecka.

Takie same prawie uczucia miotały także sercem Stolnikowej. Tylko jedna Miecznikowa wolna od uprzedzenia, stanęła myślą po stronie

cygana i już snuła plany o przyszłości jego. Nikt jednak z obecnych nie przemówił ani słowa.

Chwila była uroczysta.

Zingura nie otwierając oczu, zaczęła mówić dalej:

— Nie widziałam was, panie, odtąd bardzo długo, albowiem zaraz potem zwinęliśmy obóz i poszliśmy bardzo daleko w głąb Polski. Po wielu latach tułaczki, znaleźliśmy się znowu w tych stronach... Dla niektórych niegodziwości popełnionych przez cyganów z naszego oddziału — (ale przysięgam, że ani ja, ani Muringo udziału w tem nie miał,) — zmuszeni byliśmy opuścić tę krainę, bo nawet pogoń za nami wysłano, aby nas pochwytać i popowieszać.

— O!... tej nocy nigdy nie zapomnę!... Muringo płakał, że miał Polskę opuścić... a i mnie zrobiło się rzewnie na sercu, bo i ja miałam ważną sprawę przed śmiercią do odkrycia... Bóg jednak chce inaczej i... tak pójdę do grobu!...

Owóż tej nocy uciekając przed pogonią, wsiedliśmy na łodzie, aby się przedostać przez Wisłę. Niestety! pogoń za nami strzeliła i kula uderzyła mnie w ramię. Zakrzykłam z bólu i przestrachu i na wznak padłam we wodę...

Byłabym bez wątpienia utonęła; ale Muringo wskoczył za mną, pochwycił mnie i z wielkiem niebezpieczeństwem własnego życia, wyciągnął na brzeg... Cyganie tymczasem odpłynęli, sądząc, żeśmy zabici.

Rana moja była lekką, dla tego powlokłam się za Muringiem, który czasami jednak nieść mnie nawet musiał. Co najgorsza, wszędzie byliśmy niebezpieczni, więc trzeba nam się było schronić w jakie niedostępne miejsce. Na szczęście przypomniało mi się o *jaskini potępieńca.* Do niej więc się udaliśmy i znaleźliśmy to, o co nam chodziło, to jest miejsce schronienia. Ztąd mój syn...

— Ocalił mnie i córkę! — przerwał nagle Stolnik.

Zingura na te słowa zadrgnęła, otworzyła oczy i zwróciła je na Stolnika, a potem powiodła niemi po obecnych i zatrzymała je na Miecznikowej. Wyraz twarzy cyganki zmienił się do niepoznania; usta otworzyła szeroko, wytrzeszczyła oczy, jakby wzrokowi swemu nie dowierzała, a potem z głośnem: — ach! — i z największem wysileniem zerwała się i usiadła na łożu.

Przytomni z podziwieniem i mimowolnem przerażeniem przypatrywali się tej scenie.

Cyganka tymczasem sięgnęła ręką na piersi i zerwała jakiś medalion wielkości talara, obszyty w płótno. Trzęsącą się ręką zdarła obszycie i nagle złoto zabłysnęło. Zingura podała medalion Miecznikowej.

— Jestto twój, o pani? — zapytała.

Nim go jednak Miecznikowa zdołała odebrać, doskoczył Miecznik jak szalony, wyrwał cygance medalion z ręki i głosem piorunującym zakrzyknął:

— Kobieto! zkąd to masz?

Cyganka milczała.

— Jeśli ci życie miłe, stara! zaklinam cię, powiedz, zkąd to masz? — krzyknął znów Miecznik.

Przytomni ze zdziwieniem i z ciekawością spoglądali na Miecznika, a nawet Muringo powstał i łzawemi oczyma spoglądał to na niego, to na Zingurę.

— Nim powiem, zkąd to mam, — odezwała się cyganka, — muszę się wprzód dowiedzieć, czyj to portret w medalionie.

Miecznik otworzył medalion. Znajdowała się tam w środku miniatura portretu Miecznikowej.

— To portret mej żony, a miał go nasz syn w chwili, gdy nam zaginął! — rzekł Miecznik; — powiedz mi natychmiast, zkąd masz ten medalion!

Cyganka zamiast dać odpowiedź, padła na łoże, wzniosła ręce jak do modlitwy i dopiero po niejakiej chwili je opuściła. Utkwiła potem oczy w Miecznika i tak zaczęła mówić, robiąc niekiedy ze zmęczenia długie przestanki.

— Kiedym was pierwszy raz w lesie nad granicą moskiewską widziała i kiedy służbie kazaliście mnie ścigać, uciekłam, jak już wiadomo, nad lasem przy drodze. Przed sobą widziałam jeszcze jeden powóz... Wy zostaliście w tyle, a ja trzymałam się owego powozu, od którego w razie napaści spodziewałam się pomocy... Nagle wybiegło z lasu dwóch ludzi zamaskowanych i wskoczyli na kozieł. Jeden z nich schwycił struchlałego woźnicę za gardło, a drugi wziął w ręce lejce i skręcił końmi w las... Wylękłam się bardzo, gdyż domyślałam

się, że to napaść zbójecka. Zwróciłam się natychmiast i pobiegłam w głąb lasu, ale czy zbłądziłam, czy też Bóg tak urządził — dosyć, że trafiłam znów na ten sam pojazd. Było to w dolinie. Ja skryłam się w gęsty krzak na wzgórku i widziałam wszystko, co się działo... Było tu zbójców więcej, bo aż pięciu. Z powozu słyszałam głośny płacz niewiast, a zbójcy wołali o pieniądze. Wreszcie jeden wszedł do powozu i jakąś panią wywlekł za włosy, a tymczasem z drugiej strony powozu wyszła inna pani z dzieckiem na ręku. Zbójcy tego zaraz nie spostrzegli, dla tego owa pani z dziecięciem zaczęła uciekać ku mnie, ale że dziecko było ciężkie i jak uważałam, spało, więc położyła je pod drzewo, a sama uciekała dalej. Na nieszczęście dostrzegli ją zbójcy i dwóch puściło się za nią w pogoń... Zaraz ją też dognali i schwyciwszy za ramiona, prowadzili napowrót do powozu. Pani nie chciała się dobrowolnie poddać, zaczęła się szamotać — a tem szamotaniem zerwała maskę jednemu zbójcy.

— Toś ty?!. — zakrzyknęła i wymieniła akieś nazwisko, którego nie mogłam zrozumieć.

Drugie niewiasty musiały także znać zbójców, bo słyszałam jak zawołały:

— To on i nas rabuje?!..

— Nieszczęśliwe kobiety! — jęknął jeden zbójca, — chcieliśmy krwi oszczędzić... ale teraz zapóźno!..

Ledwo to wymówił, padły nieszczęśliwe natychmiast trupem, uderzone maczugami... Krzyk przytłumiony odeźwał się z powozu, natychmiast jeden ze zbójców wskoczył w środek i po chwili wyszedł... w powozie było odtąd cicho!..

Wszystko to stało się prawie prędzej, aniżeli trwało moje opowiadanie..

Zbójcy dokonawszy czynu, zebrali się na naradę. Nie zrozumiałam wprawdzie, co mówili, gdyż ile mi się zdaje rozmawiali ze sobą po moskiewsku, ale się domyślam, że szukali sposobu zachowania czterech trupów, to jest woźnicy i trzech niewiast. Domysł mój był prawdziwym.. · Poszli do powozu, obdarli go i szatami powiązawszy trupy, włożyli na konie, które odprzęgli i za chwilę zniknęli z niemi w lesie...

Struchlała siedziałam więcej jak godzinę w krzaku ukryta, nie śmiejąc się poruszyć — dopiero kwilenie dziecka wróciło mi przytomność. Z obawą obejrzałam się na około... nikogo nie było widać... chciałam więc spiesznie uciec z tego miejsca strasznego. W tej chwili jednak dziecko mocniej zapłakało i usiadłszy, zawołało: mamo!.. Łzy mi w oczach stanęły, jakieś rzewne uczucie owładnęło mem sercem... bez namysłu poszłam i wzięłam dziecko na rękę. Przytuliło się do mnie, szczebiotało niezrozumiale dla mnie, wołając co chwila mamy... Był to chłopczyk mniej więcej dwuletni. W ręku trzymał ów medalionik.

— I gdzież się podziało to dziecko? — zapytał wzruszony Miecznik, — to był nasz syn!..

— Coś zrobiła z dziecięciem?.. — pytała głośno płacząc Miecznikowa.

Zaraz... zaraz powiem... och! śmierć się zbliża, ale dokończę... — mówiła cyganka coraz słabszym głosem. — Chłopczyka, któremu ile się zdaje było imię: Zyciu, zaniosłam do naszego obozu... Dopytywałam się później, do kogo to dziecko należy, pokazywałam medalion i portret tam się znajdujący, ale nikt go nie znał. Nawet raz powiedziano mi wręcz, że pewno dziecko ukradłam. Odtąd obawiałam się więcej dopytywać, aby mnie czasem niewinnie nie uwięziono... Przeszliśmy potem granicę Rosyi, a ją dziecko przybrałam za swoje i wychowałam.

— Wychowałaś — zapytał Miecznik, przejęty jakimś przeczuciem.

— Żyje jeszcze? — pytała skwapliwie Miecznikowa.

— Żyje — odpowiedziała cyganka.

— Gdzież jest, gdzież się znajduje?.. — nagliła gorączkowo Miecznikowa.

Cyganka z wielkiem wysileniem podniosła się na łożu, chwilę patrzała na Miecznika i Miecznikową, a potem głosem mocnym, wyraźnym, rzekła:

— I jeszcze mnie pytacie? I jeszcze syna waszego nie poznajecie po czynach jego?.. Syn wasz tu oto stoi... Muringo jest waszym synem!..

To wymówiwszy padła bezwładna na łóże.

Boleść i radość wyciskają człowiekowi łzy z oczu. W pierwszym jednak razie nie tylko oczy, ale i serce płacze, kiedy przeciwnie w drugim razie chociaż oczy strumienie łez wylewają, to serce się śmieje.

Miecznikowa na ostatnie słowa cyganki zadrżała i z głośnym płaczem i krzykiem: Mój syn, mój syn Zygmunt! rzuciła się na Muringa,

który stał skamieniały, osłupiały, nie wiedząc, czy to sen, czy na jawie.

— Przywitaj twoich rodziców! — wołała Miecznikowa, ściskając go za szyję i tuląc do łona.

Muringo, a raczej Zygmunt, spostrzegł się wreszcie i opamiętał. Ze łzami w oczach rzucił się przed Miecznikową i Miecznikiem na kolana.

— O! moi rodzice, — zawołał łkając, — przebaczcie, że w pierwszej chwili nie padłem wam do nóg!.. Tyle szczęścia naraz pojąć i znieść nie mogę. O! serce moje nie omyliło mnie — nie jestem więc cyganem, ale Polakiem!..

— Tak jest, mój Zygmuncie, tak! — potwierdziła Miecznikowa, trzymając głowę syna na piersi, — jesteś Polakiem, jesteś moim synem!

Miecznik ochłonąwszy nieco z pierwszego wrażenia, patrzał na Muringa i żonę takim wzrokiem, w którym Miecznikowa dojrzała natychmiast powątpiewanie.

— Czemuż nie witasz syna twego? czemuż patrzysz nań tak ozięble? — zapytała Miecznikowa męża, — czyż nie dowierzasz? Patrz! ta twarz, to twarz twoja odmłodzona... Zresztą mogę cię inaczej przekonać. Zygmunt miał na prawym obojczyku czarną, małą brodawkę — zaraz zobaczymy.

To powiedziawszy zdarła z Muringa siermięgę... na obojczyku była rzeczywiście brodawka...

— Serce matki nie omyli się!.. — zawołała z tryumfem Miecznikowa i na nowo zaczęła ściskać Zygmunta.

Nie było więc wątpliwości; identyczność Zygmunta była zupełnie stwierdzoną.

Radość nastała teraz powszechna. — Rodzice strapieni utratą dzieci znajdują naraz syny, o którego sposób śmierci najwięcej się martwili. Co więcej: ten który Miecznikowi życie ocalił, który bezinteresownie tyle dobrego zdziałał, był ich synem! Czyż serce rodzicielskie nie mogło było zabić żywiej?

(Dokończenie nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

KROLOWA SÓW.

Hrabia Bogusław po powrocie z Warszawy odetchnął wolniej, znalazłszy się znowu w wesołym saloniku swego wi jskiego zamku. Życie wielkiego świata z jego rozpustą i zbytkami obmierzło mu było zupełnie.

Wieczór był prześliczny; z zachwyceniem spoglądał mlody hrabia to na zachodzące słońce, które spuszczało się właśnie za krańce bukowego lasu, zostawując po sobie różanne chmurki na niebie, to na ciche przejrzyste jezioro, kołyszące się wśród zielonych krzewin pod oknami zamku, na którym przesuwały się lekkie czołna rybaków. Te piękności przyrody wzbudziły w Bogusławie pobożne uczucia; tęskne wspomnienia przeszłości ozwały się w jego duszy. Z wdzięcznością myślał o zmarłych rodzicach, a jego wyobraźnia malowała sobie ich obrazy wśród kształtów wieczornych chmurek, które coraz to w większych rozmiarach pojawiały się na błękitnem niebie. Coraz to bardziej zdawała się przyroda smutne jego dzielić uczucia. Mgliste, ciemne chmury, pokryły całe niebiosa, a wiatr chłodny i dżdżysty zaczął wiać od zachodu. Wtem jękliwy głos sowy, powtórzony kilkakrotnie, zbudził go z zadumania. Bogusław udał się na spoczynek i wkrótce sen słodki przeniósł go w krainy marzeń. Sen przedstawiał mu z początku miłe wrażenia wieczorne, lecz wkrótce zmieniły się one w potworne obrazy, a

potem stojące przed nim niby mur z kamieni. Na tym murze stała postać ptaka, która ulatując zwolna, przemieniła się w niewiastę z rozpuszczonemi włosami i rozpaczliwą miną. Ta sięgła na drugą stronę muru i pociągnęła do góry za rękę inną nierównie piękniejszą postać. Była to młoda dziewczyna w jasno-zielonej sukni, złotem haftowanej, i wieńcu z białych róż na głowie. Jej piękność była zachwycającą i zwiększała się widocznie. Wtem pierwsza pani skinęła ręką; jasne płomienia wybuchły do koła i dziewczyna w wieńcu różannym znikła mu z oczu. Rozpaczająca niewiasta sięgnęła znów po za mury i wyciągnęła teraz skromnie ubraną dziewczynę z kołowrotkiem w ręku. Ta była także piękną, a cała jej postać tchnęła anielską dobrocią. Upuściła kołowrotek, uklękła, złożyła ręce do modlitwy; skrzydła aniołka zjawiły się na jej ramionach i uniosła się na nich ku niebu. Pierwsza niewiasta spoglądała za nią z uczuciem boleści. Wtem znagła krzyk sowi, „huhu!“ rozlegl się wśród ciszy, całe stado sów ukazało się w powietrzu, a pozostała niewiasta zniknęła pomiędzy niemi.

Hrabia obudził się; dziwaczny ten sen stał mu do rana na myśli i nie dał mu zmrużyć oka; miłe postacie, które widział we śnie, odbijały się ciągle w jego duszy. Wstał i chciał udać się do swych dziennych zatrudnień, gdy mu służący przyniósł list od wuja, który przysłał go przez konnego posłańca. W liście stało, iż wuj dowiedziawszy się przypadkiem o powrocie Bogusława z Warszawy życzył sobie, by niebawem przybył do niego, chcąc go ucieszyć jakąś niespodzianką.

Wieczór nadszedl szybko wśród różnych zatrudnień gospodarczych. Młody hrabia dosiadł najlepszego z swoich wierzchowców, by tem prędzej zajechać do wuja. Gdy już był niedaleko zamku, księżyc w pełni zeszedł na wschodzie i srebrzystym blaskiem oblał całą okolicę nad którą dumnie panował zamek wuja Bogusława, oświecony dzisiaj mnóstwem jarzącego światła. Bogumił domyślał się, co znaczyły te światła i te usilne zaprosiny. Było to wszystko dla ślicznej hrabianki Pelagii, dalekiej krewnej wuja, która już dawno oczekiwaną była, i którą mu wuj przeznaczył za żonę. Słyszał już Bogusław wiele o jej piękności, lecz nic o jej dobrych przymiotach.

Bogusław stracił matkę wyszedłszy zaledwie z dzieciństwa, ojciec zaś, który wszelkiego dokładał starania, by go jak najlepiej wychować, zginął na polu bitwy. Młody Bogusław był bardzo silnej i mocnej natury, przytem umiał najlepiej w całym kraju strzelać i władać bronią; a tak był przyjemny, iż każdy, kto go raz poznał, pokochać go musiał. Wuj, który go najbardziej z wszystkich swych krewnych lubił, postanowił ożenić go jak najprędzej, by go przez to uchronić od różnych bezdroży, na które się ówczesna młoda szlachta puszczała. Majątek Bogusława nie był wprawdzie znacznym, lecz go czekała wielka sukcesya po wuju. Lubo dopiero w dwudziestym szóstym był roku, posiadał jednak tyle stałości umysłu, iż się nie dał powodować wujowi. Przedsięwziął rozważyć proponowane mu ożenienie i poznać wprzód dobrze hrabiankę. W takich myślach pogrążony dojechał do wsi wujowskiej. Na jednym z domów wieśniaczych siedziało kilka sów, które zleciały i ciężkiemi skrzydłami krążyły nad jego głową. Koń spinał się i zżymał, a Bogusławowi było, jak gdyby się cały świat z nim obracał. Nakoniec zaćmiło mu się przed oczyma i upadł bez zmysłów na ziemię. Gdy przyszedł znowu do siebie, ujrzał się okryty kurzawą i krwią w izdebce wiejskiej chaty, a przy nim stała młoda dziewczyna, obmywając jego rany. Zawiązawszy rany hrabiego zajęła się czyszczeniem i chędożeniem jego rzeczy, i rozmawiała z nim tak mile i roztropnie, iż nie czuł dolegliwego bólu, który mu rany jego sprawiały. Naraz zadrżał i w oczach mu się zaćmiło, bo wieśniaczka była to ów anioł, którą widział we śnie tej nocy. Badając ją o jej rodzinę, dowiedział się, iż jest sierotą i że jedna stara wieśniaczka, u której teraz zostaje, przyjęła ją za córkę.

Wkrótce też nadeszła staruszka i zaczęła przed hrabią wychwalać Urszulę, swą córkę przybraną. Ta się rumieniła i prosiła matuli, by o tem mówić przestała; lecz stara nie poprzestała, dopókąd niewypowiedziala co serce jej czuło. Na końcu dodała jeszcze, że Urszula cudem Bozkim dostała się do jej domu.

— Przed ośmnastu laty, — mówiła stara, mieszkaliśmy w małej wiosce, trzy mile od Warszawy; tamto zaszło, co panu chcę opowiedzieć. Dreszcz mnie dziś jeszcze przechodzi, gdy sobie wspomnę ów dzień popielcowy, jak idąc do lasu po drzewka ujrzałam wilka niosącego w pysku małe dziecko. Stado sów ścigało go i dziubało tak bardzo, iż musiał upuścić dziecko, by im się obronić. Pobiegłam po mojego nieboszczyka, i przybyliśmy z drągami na miejsce, gdzie ocalone dziecię leżało samo, bo zajadli napastnicy scho-

wali się napowrót w głąb boru.

Naprózno wywiadywaliśmy się o rodziców dziecka; więc będąc sami i bezdzietni, przyjęliśmy je z ochotą. Opieką Bożą wyrosła nasza Urszulka na chwałę Bozką i naszą pociechę, bo się mogę poszczycić nią przed każdym. Nawet pani przełożona w przyległym klasztorze pokochała ją tak bardzo, iż ją wzięła na niejaki czas do siebie i wiele pięknych nauczyła ją rzeczy".

Przygoda znalezienia Urszuli zajęła mocno Bogusława, szczególniej, że sowy, które go dzisiaj mało o śmierć nie przyprawiły, siedziały właśnie na jej domu. Przedsięwziął dowiedzieć się o wszystkiem dokładniej i dobył worka, by odpłacić poczciwym niewiastom trudy, które około niego podjęły.

Staruszka wyciągła chętnie wychudłą rękę po świecącego dukata, ale Urszula wstrzymała ją, i prosiła hrabiego, by oddał ten datek pierwszemu lepszemu żebrakowi, którego spotka na drodze.

Tymczasem dano znać wujowi o przypadku Bogusława. Przybył natychmiast z kilku gośćmi, by się naocznie przekonać, jak się kochany miewa siostrzeniec. Znalazłszy go zupełnie prawie zdrowym, ucieszył się serdecznie i zaprowadził go do zamku. Bogusław udał się do osobnego pokoju, mówiąc, iż chce wypocząć jeszcze lepiej i zmienić swój ubiór, który przez upadek z konia w dość znacznym był nieładzie, pomimo staranności Urszulki; lecz właściwie chodziło mu najbardziej o to, by się dowiedział od służących co bliższego o Urszuli, bo znajomość z hrabianką Pelagią bardzo go mało zajmowała.

Po niedługim czasie przyszedł do niego wuj, robiąc mu wyrzuty, iż tak długo nie ukazuje się w salonie. Przybywszy tamże został przedstawiony hrabiance Pelagii, ale jakże wielkie było przestraszenie jego, gdy w niej poznał ową piękną dziewicę, którą widział we śnie rozpływającą się w płomieniach. Nie mógł powiedzieć ani słowa, a ona przywitała go szyderczym uśmiechem i rzekła: „Słyszałam, żeś zgrabny jeździec, panie hrabio, a jednakowoż dałeś się zrzucić spokojnemu koniowi? Zapewne myśli twoje daleko bujały lub niepotrzebnemi rzeczami zajęte były?"

Nie podobały się Bogusławowi jej szydercze słowa, ale przytem podziwiał blask jej piękności. Wieczór przeszedł dla niego bez przyjemności. Wuj starał się wprawdzie ukazać hrabiankę z najlepszej strony i zaprzyjaźnić go z nią, wszakże starania jego były daremne. Była ona według zdania jego zrodzona na władczynią, ale dobrą małżonką być nie mogła. Bogactwa jej nie wabiły go wcale, bo przestawał na tem, co mu los udzielił.

Nazajutrz przechadzała się hrabianka z towarzyszką po aleach przed pałacem; przyzwoitość i wola wuja zmusiły Bogusława, by jej towarzyszył w tej przechadzce. Stary żebrak zbliżył się do niego. Młody hrabia chciał mu dać jałmużnę, aby dług wypłacić wedle woli Urszuli, lecz hrabianka wstrzymała rękę jego mówiąc: Niedaleko zajdziesz, kochany hrabio z dobrodusznością twoją. Żaden mądry człowiek nie będzie chciał obcować z tobą, a majątek w krótkim czasie strwonisz".

Powiedział jej, jakie dał przyrzeczenie Urszuli, i znowu został wyśmianym, że wieśniaczce składał przyrzeczenia.

Jakże inaczej zdawała mu się teraz Urszula! Po przechadzce odwiedził ją; zastał ją przy kądzieli. Ona była tak czynna, tak zgrabna, mówiła z nim bez przymusu, nie przestając pracować. Nigdy nie myślał dawniej, żeby wiejska dziewczyna mogła być tak dobrą i tak rozsądną. Jej poddanie się woli Bożej, jej serce pełne miłości ku bliźnim, jej mądre zdania o wszystkiem, podbijały coraz bardziej serce jego. Urszula prosiła go, gdy odchodził, by poprzestał tych odwiedzin, któreby jemu mogły zaszkodzić, a ją wystawiały na szyderstwa wieśniaczek i parobków. Nie usłuchał jednak Bogusław i wychodził często do chaty wieśniaczej, aż razu pewnego nie znalazł więcej Urszuli w chatce. Starał się teraz wszelkiemi sposobami wybadać z staruszki, gdzieby się podziała Urszula, ale na próżno; gadatliwa zwykle przybrana matka dziś milczała uporczywie. Nazajutrz znów przybył do niej i prosił ją na wszystko, by odkryła miejsce pobytu Urszuli, ponieważ bez niej żyć nie może, i ona musi zostać małżonką jego. Opowiedział jej też swój sen. To pomogło; staruszka znów stała się rozmowną i wkrótce wiedział Bogusław, czego się pragnął dowiedzieć. Powiedziała mu, że Urszula jest w niedalekim klasztorze u przełożonej, a żądała zarazem, aby nie powiedział, że ona mu odkryła tę tajemnicę.

— Bóg sam opiekuje się Urszulą — mówiła w radośnem uniesieniu, — więc będzie szczęśliwą.

Bogusław udał się do klasztoru, poprosił przełożoną do krat i wyjawił jej życzenie serca swego.

Zacna matrona starała się z początku odwieść go od zamiarów jego; wszakże cieszyła się, że wychowankę takie miało spotkać szczęście, bo znała dobrze piękny charakter młodego hrabiego i wiedziała, że on uszczęśliwi małżonkę swoją. Wszakże powiedziała mu jeszcze: ,,Twoja rodzina i cała arystokracya oburzy się na takie ożenienie, pomimo cnót i piękności Urszuli."

— Poniosę wszystko, — odparł, — ale bez Urszuli żyć nie mogę, ona musi zostać żoną moją!" Potem opowiedział także sen swój, a przełożona przy tak ważnych przyczynach i tak mocnem postanowieniu, zezwoliła na ożenienie z Urszulą; pozwoliła także, aby się odtąd młodzi ludzie widzieli i z sobą rozmawiali. Ślub odbył się wkrótce potajemnie; wuja spodziewano się rychło przeprosić i ułagodzić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘSC PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

Młoda panienka podniosła oczy i zwróciła je ku wizerunkowi; istotnie, uderzające było podobieństwo między temi dwiema twarzami, prababki i jej prawnuczki. Zara zwróciła także wzrok w tę stronę.

Z wyrazu oblicza wnosząc, nie musiała być szczęśliwą, — rzecze Indyanka.

— Nie być szczęśliwą! — zawołała mistress Jarmy, — miała najśliczniejsze brylanty z całego hrabstwa i wiem, że była bożyszczem swojego męża.

— Założyłabym się, że młodą umarła, — ciągnęła dalej ayah.

— A to dla czego? — spytała klucznica z widocznem zdziwieniem.

— Czytam to w jej oczach, — odparła Indyanka, malarz nie był pospolitym artystą; oczy mają ten wyraz, zapowiadający los złowrogi i nieszczęśliwy.

— Istotnie, w młodym wieku umarła, — przyznała mistress Jarmy z westchnieniem.

Zara się uśmiechnęła.

— Miała słabość piersiową, — dodała staruszka.

— Ból serca mieć musiała, — rzekła Indyanka. — Nazywajcie jej słabość jak chcecie, ja jestem pewną, że z bólu serca umarła. Jak uwięziona gazela, musiała więdnąć i usychać w tych murach, gdzie wszystko tchnie śmiercią i przeszłością, a nic o teraźniejszej chwili ani o przyszłości nie mówi.

Jarmy nic na to nie odpowiedziała. Ellena rzuciła na nią spojrzenie badawcze, jakby pragnąc się dowiedzieć, czy twierdzenie Zary było

słuszne; ale sędziwa matrona zbyt wiernie przywiązaną była do rodziny swych chlebodawców, by wygadać się w obec obcej osoby z tajnikami cierpień lub nieszczęść którego z jej członków. Widocznie zniecierpliwioną była tym obrotem rozmowy, i skoro ukończyła nocną toaletę swej młodej pani, wyszła z pokoju.

Po jej odejściu ayah wydała śmiech przytłumiony i syczący.

— Zaro! — rzecze do niej Ellena, — dziwne posiadasz wiadomości z dziejów mojej rodziny? Ale domyślam się ich źródła! moja droga matka nie miała tajemnic przed tobą.

Ayah dała znak głową zaprzeczający, żeby od swojej nieboszczki pani miała otrzymać te wiadomości.

— Od kogoż więc masz je? — zapytała Ellena zdziwiona.

— Jest to darem mojego pokolenia, — odparła, unikając wyraźnej odpowiedzi, — zgadywać los tych osób, których rysy twarzy ujrzymy.

— Jakiż więc mój los będzie?

— Świetny i błogi jak kraina, w której światło dzienne ujrzałaś; jeżeli go sobie sama nie zniweczysz, zostając tutaj w tym kraju ponurym, gdzie serca są chłodne, a życie bez miłości. W Indyi, — rzecze mamka, której oczy zajaśniały na wspomnienie ojczystej strony, — mogłabyś panować przez swą piękność, jak bóstwo w świątyni; tutaj nędzne wlec będziesz życie, jak ptaszyna w grobie zamknięta.

— Zaro! nie powinnam słuchać takiej mowy.

— Ale ja muszę tak mówić, choćbyś się miała oburzyć na twoją wierną niańkę. W Indyach byłaś światłością domu twojego, tutaj jesteś niby kwiat więdnący na pustyni. Serca młodzieńcze rozgrzewały się przy promieniach twojej piękności, oddając hołdy twoim spojrzeniom, twoim tylko żyjąc uśmiechem, tu nie masz nikogo, coby cię kochał, prócz twojej biednej piastunki.

— Zapominasz, że mam wuja, — rzekła sierota.

— Umarli nie kochają! — zawołała Zara z niecierpliwością.

— Umarli?

— Tak jest, umarli. Gdy w sercu już tylko popiół i zgliszcza, dusza bez namiętności, czemże jesteśmy wtedy, jak nie trupami wywleczonemi z grobu?

— Jakże mało znasz mego szlachetnego wuja. Jak ten kwiat, co dopiero zgniecony woń wydaje, tak i u niego boleść dała dopiero poznać jego cnoty niezliczone, jego litość nieograniczoną, jego współczucie dla wszystkiego co prawdziwe i piękne, słowem, wszystkie najlepsze strony jego charakteru. Dla mnie przejęty jest miłością ojcowską.

— Ale cię nie kocha tak, jak Miran-Hafaz?

— Miran kocha mnie przywiązaniem braterskiem, — rzekła rumieniąc się Ellena.

— Brat nie ściga swym wzrokiem siostry tak, jak widziałam oczy Mirana śledzące za tobą... głos brata nie drży gdy szepce do ucha swej siostry.

— Szaloną jesteś, Zaro, a że cię za to nie łaję, to tylko z powodu, że ja i Miran nigdy się już nie spotkamy z sobą.

— Nie spotkacie się już! Ale gdybyś przepadła w pustyni, toby cię Miran odszukał. Jego miłość nie jest to chłodne i spokojne uczucie, jak u twych krajowców europejskich. Co pomyślisz gdy ci powiem, że on przebył pustynię oceanu w nadziei otrzymania twej ręki, zabrania cię z sobą do krainy słońca?

— Przykremby mi to było.

— Przykrem?

— A co więcej, powiedziałabym to natychmiast memu wujowi, który jest moim jedynym opiekunem, aby swoją powagą osłonił mnie przed natręctwem Mirana, równie dla niego bezskutecznem, jak dla mnie niemiłem, bo ja nigdy dla niego czem innem być nie chcę, jak tylko siostrą, nie kochając go, tylko miłością braterską.

— Od kiedyż to zrobiłaś to spostrzeżenie?— zapytała ayah, utkwiwszy w miss Ellenę wzrok przenikliwy, jakby chciała zajrzeć aż w głąb jej serca.

Dziewica nic na to nie odpowiedziała.

— Ja ci to powiem, — ciągnęła dalej piastunka. — To od tej chwili, kiedy ten paria, o bladej twarzy, konia twego dziś rano wstrzymał, odkąd zręczność służalca otrzymała w nagrodę uśmiech, kosztowny jak klejnoty korony Nizamu! Śledziłam jego spojrzeń, gdy się z tobą żegnał w przedsionku, bo ciekawą byłam zobaczyć wybawcę mej wychowanki. On kocha cię!

Na ten raz rumieniec żywy okrył twarz i szyję sieroty. Niebezpieczną jest rzeczą po-

wiedzieć młodej dziewczynie, że jest kochaną, to pobudza do marzeń jej serce.

— Co gorsza, — dodała ayah ze smutkiem — i ty go kochasz!

Śpiewny śmiech młodej panienki rozprószył na chwilę podejrzenie przenikliwej Indyanki. Wiedziała, że Ellena nie była skłonną do udawania i do skrytości; ale zapomniała, że młodość mimowolnie sama siebie oszukuje. Serca są jak ptaszki, często schwytane w sidła, nie domyślają się nawet niebezpieczeństwa.

— Dobranoc ci, Zaro, — rzekła Ellena, podając jej rękę, którą piastunka do ust przycisnęła. — Widocznie drwisz sobie ze mnie. Jabym miała zakochać się w Henryku, w panu Ashton, chciałam powiedzieć. Co za dziwaczny pomysł! Dobranoc!

Jakkolwiek myśl ta dziwaczną jej się wydała, Ellena nie mogła jej się pozbyć z głowy. Długo jeszcze po odejściu piastunki zasnąć nie mogła. Podobne niedorzeczności, niekiedy głębokie wrażenie w sercu sprawiają.

Miran-Hafaz, był to syn księżniczki, czyli Begumy indyjskiej, która zdeptawszy przesądy swej kasty, oddała rękę i bogate wiano oficerowi angielskiemu, i wkrótce została wdową z jedynem dziecięciem. Syn odziedziczył po matce charakter dumny, lecz szlachetny, wolę silną, popędy namiętne, porywczość i zazdrość, wady i zalety Indyanom właściwe. Z powierzchowności miał podobieństwo do obojga rodziców: małą rękę i nogę, drobną i szczupłą postawę; cerę oliwkową otrzymał po matce, rysy twarzy przypominały ojca. W dziecinnym wieku zaczął bywać u jenerała de Vere, tam poznał i pokochał malutką jeszcze Ellenę, z którą aż do śmierci jej rodziców bawił się jak brat z siostrą; dopiero nagły jej wyjazd do Europy, pozwolił mu przekonać się o namiętnem do niej przywiązaniu.

Nie mógł się pocieszyć po jej stracie; wtem przyszła mu myśl, popłynąć za nią do Europy, i z właściwą sobie porywczością, postanowił niezwłocznie to uskutecznić.

Widzimy, że ayah miała słuszność w swych domysłach.

Chociaż prowincye, należące niegdyś do owdowiałej księżniczki, dawno już przeszły w posiadanie Anglików, Beguma posiadała jeszcze znaczny obszar kraju i ogromny majątek, oprócz pensyi rocznej, wypłacanej jej przez kompanię wschodnio-indyjską, w zamian za kraje i dochody, które tejże kompanii odstąpiła.

Skoro spostrzegła, że postanowienie ukochanego jedynaka jest niezłomne, i że ani łzy, ani błagania go nie wzruszą, przestała opierać się jego woli, starając się tylko już o to, aby się wybrał w podróż, jak przystało jego urodzeniu i znacznej fortunie; w tym celu dała mu do rozporządzenia ogromne sumy.

— Kiedy już tak koniecznie być musi, — rzekła do niego, — jedź-że szukać żony w ten kraj daleki! Ale pamiętaj, że serce twej matki będzie usychać aż do tej chwili, kiedy cię znowu będzie mogła uściskać.

W dumie wynikającej z przywiązania macierzyńskiego, nie przyszło jej nawet na myśl, aby osierociała córka jenerała de Vere, miała odmówić przyjęcia świetnego losu, jaki jej syn książęcy ofiarą swojej ręki gotował.

Jako troskliwa matka, powierzyła Mirana pieczy pewnego Anglika, który od dawna zajmował się naczelnym zarządem jej obszernych posiadłości. Nazywano go Khan. Wszyscy zapomnieli nazwisko, jakie nosił w swojej ojczyźnie. Cera jego ściemniała wskutek długiego pobytu na Wschodzie, jego ubiór indyjski, i długa czarna broda tak go zmieniły, że własna matka pewnoby go nie poznała.

W towarzystwie licznego sług orszaku, zakochany Miran wybrał się w podróż do Anglii, już w miesiąc niespełna po odjeździe miss Elleny. Żegluga była pomyślna, tak, że we dwa tygodnie po przybyciu młodej sieroty, wylądował u brzegów angielskich. Między zakochanym młodzieńcem a jego mentorem, najzupełniejsza zawiązała się poufałość, Khan bowiem kochał Mirana jak rodzonego syna.

— Książę! — rzekł w sam dzień przybycia do Londynu, — mam ci dwie rzeczy do zalecenia.

— Cóż takiego? — spytał młodzian.

— Najprzód, abyś ze mną inaczej nie rozmawiał, jak tylko językiem hindustańskim.

Miran skinął zezwalająco.

— Po drugie, abyś tail nawet przed twymi najmilszymi przyjaciołmi, że jestem Anglikiem.

— A to dla czego?

— Będę mógł łatwiej pomagać ci w twoich poszukiwaniach, jeżeli będę nieznanym.

— Dobrze. Niech się stanie wedle twojego życzenia.

V.

Miran-Hafaz był prawdziwem dzieckiem przyrody; odważny jak rumak, który nigdy nie znał wędzidła, ognisty jak słońce w jego ojczyźnie. Jego wola nieugięta nie znała żadnej przeszkody, którejby przebyć nie można, a w pokonywaniu takowych, doznawał dumy podobnej, jak myśliwy w walce z lwem pustyni. Największe niebezpieczeństwo takiego usposobienia polega w silnym wpływie, jaki nań namiętności niczem niehamowane wywierają. Była to mięszanina podlejszego kruszcu, który umniejsza wartość złota.

Choć mały i szczupły, celował we wszystkich ćwiczeniach fizycznych. Od dzieciństwa przywykł do jazdy na nieujeżdżonych rumakach i do łowów na tygrysy. Uzbrojony w karabin, nie chybiał nigdy celu. Raz w czasie takiego polowania ocalił życie Khanowi, ugodziwszy kulą w sam mózg tygrysa w chwili, gdy ten chciał rzucić się na słonia, na którym Anglik siedział. Ztąd pochodziło przywiązanie tego człowieka ku młodzianowi. Na nieszczęście, było to przywiązanie duszy niewolniczej, gotowej okazać swą wdzięczność pochlebianiem namiętnościom swojego wybawcy, zamiast kierować go na drogę cnoty i rozumu.

Nie znając świata europejskiego z jego sztuczną ogładą, zazdrością, wybiegami, nikczemnemi intrygami i ambicyą, nic dziwnego, że młody Miran bez doświadczenia uczuł się niby w odmęcie i dał się zupełnie owładnąć radami swego opiekuna, który szczególnie świadomy był wszystkich okoliczności, tyczących się familii Mowbray.

Zaledwie rozeszła się wieść o przyjeździe księcia, oraz sława o jego niezmiernem bogactwie, wszystkie domy arystokratycznego świata otworzyły podwoje, na przyjęcie indyjskiego magnata. Panowie, mający córki na wydaniu, spekulowali aby zrobić dobry interes; młodzi synowie szlacheckich rodzin, zrujnowani hołysze, wyrocznie zakładów i wyścigów, otrzymali nowy kredyt u swoich wierzycieli i kupców na zapewnienie, że są z nim zaprzyjaźnieni; on jednak potrafił uniknąć zabiegów polujących nań matek i ojców, oraz sideł graczów i tym podobnych paniczów. Jakimś wrodzonym instynktem zdawał się zgadywać ich podstępne zamiary. Khan nie odstępował nigdy Mirana; jego doświadczenie i znajomość świata, była pod wielorakim względem użyteczna młodemu człowiekowi.

Zaledwie Miran dziesięć dni bawił w Anglii, już się niecierpliwił, widząc, że jego nadzieje jeszcze się nie spełniały, bo żadnej wieści nie miał o miss Ellenie; nie mógł zaś pojąć taktyki swego poważnego przyjaciela, którego jedynym celem zdawało się bywanie jak najczęstsze w towarzystwach, gdzie tak byli pożądanymi, a w których jednak nie rozmawiał z nikiem, tylko z swym młodym panem, i to zawsze w języku wschodnim, udając, jakby mu angielski zupełnie był obcym.

— Już mi się uprzykszył ten świat próżności i marnotrawstwa, gdzie nic serca nie zajmie, — rzekł razu pewnego Miran do Khana.

— Ale tu nie jedno się znajdzie, co zajmuje umysł, — odparł ten ostatni, — warto je zbadać.

— Ja w tem bynajmniej przyjemności nie znajduję.

— Bądź cierpliwy.

— Cierpliwym być mam! — zawołał porywczy młodzian, — gdy pałam chęcią usłyszenia głosu, który jest muzyką dla mego serca, spojrzenia w oczy, które są zwierciadłem mojej duszy!

— Jesteś zaproszony na dzisiejszy wieczór do hrabiny Arlington?

— Nie pójdę!

— Trzeba abyś tam poszedł, — rzekł Khan spokojnie.

Książę spojrzał nań z wyrazem dumnego zadziwienia.

— To jest, jeżeli nie chcesz zrzec się nadziei, która cię do opuszczenia Indyi spowodowała, — odparł Khan. — Spotkasz u hrabiny wuja tej młodej dziewczyny, którą tak kochasz.

— Sir Williama Mowbray?

— Nie, jego młodszego brata, pułkownika Mowbray, który za młodu stracił marnie swój majątek, a potem postanowił uzyskać go w sposób godny swego charakteru. Teraz jest całkiem zawisły od brata, który mu dostarcza środków przyzwoitego utrzymania w świecie, a którego nienawidzi śmiertelnie.

— Nienawidzi go! — zawołał Miran zdziwiony, — przecież to rodzeni bracia!

— Kain i Abel byli także braćmi.

— Czy znasz go?

— Znałem go niegdyś. Jak mu będziesz przedstawionym, trzeba, żebyś nagle przypomniał sobie, iż jego nazwisko słyszałeś z ust jenerała de Vere. Będzie nieochybnie korzystał z tej okoliczności, aby ściślejszą z tobą zabrać znajomość.

— Dla czegoż to?

— Bo wie, żeś bogaty.

— A on nie jest-że majętnym?

— To gracz. Od niego możesz zręcznie się dowiedzieć, gdzie się znajduje siostrzenica jego.

— A jeżeli się dowiem?

— Spuść się na mnie potem.

— Zawsze jakaś zwłoka... jakaś tajemnica, której nie widzę powodu, — mruknął Miran, — nie pojmuję tego wszystkiego. Urodzeniem stoję przynajmniej na równi z Elleną, majątkiem przewyższam ją; cienia hańby nie ma na mojem imieniu. Zgłoszę się wprost do jej opiekuna, oświadczając mu moje zamiary...

— Otrzymasz odmowę.

— Odmowę? Czyż nie widzę codziennie, prawie każdej godziny matki, które gotowe połączyć swoje córki ze mną?

— Bo nie mogą im dać majątku. Pomiędzy temi wszystkiemi młodemi dziewicami, które spotykasz, nie ma i jednej może, któraby nie była gotową oddać swej ręki starcowi schorzałemu, przesyconemu życiem, zbytkiem i rozpustą, byleby jej w zamian mógł ofiarować tytuł i złoto. Ellena zaś jest dostatecznie bogatą, aby mogła wybrać sobie męża między najznakomitszemi rodzinami w kraju. Krewni zechcą niezawodnie, aby została w Anglii; małżeństwo z tobą na nicby im się nie przydało. Tutaj dziedziczka znacznego majątku, uważaną jest jak wotum w ciele prawodawczem, jako przedmiot spekulacyi, z którego usiłują jak największą ciągnąć korzyść dla młodszych synów i bratanków, nie posiadających majątku.

— I jakaż to cywilizacya, którą mi tylekroć wystawiałeś! — zawołał Miran z oburzeniem. — Wychwalasz swobodę kobiet w Europie, gdzie właśnie one są prawdziwemi niewolnicami. Uczucia, miłość, rozum i osoba, wszystko jest tutaj przedmiotem targu, jak najpodlejszy towar.

— Ja ci nic nie zachwalałem, tylko po prostu opowiadałem, co się dzieje w Europie.

Tego samego wieczora, zakochany Indyanin wraz ze swoim mentorem udał się do hrabiny Arlington, i według przepowiedni Khana, przedstawiony był pułkownikowi Mowbray i jego synowi, który był rówieśnikiem Mirana. Ten przypomniawszy sobie uwagi Khana, dotyczące bratanków i młodszych synów, pozbawionych majątku, mniemał widzieć w ciotecznym bracie Elleny, współzawodnika do jej ręki, ale jak zwykle mieszkańcy Wschodu, umiał panować nad sobą, aby nie zdradzić burzy, która wrzeć poczynała w jego sercu. Owszem, skłonił się obudwom ze spokojną powagą, właściwą Indyaninom wysokiego rodu.

Nie zapomniał również nauki swojego mentora, rano mu udzielonej. Pułkownik i syn jego, ujęci zostali uprzejmością młodego cudzoziemca, i zadowoleni tak zaszczytnej znajomości.

— Mowbray! Mowbray! —powtórzył Miran, gdy się ku niemu zbliżali, już gdzieś słyszałem to nazwisko.

Dwaj Anglicy skłonili się głęboko.

— Ale! przypominam sobie teraz... w Indyach, u mego szanownego przyjaciela, jenerała de Vere!

— To był mój szwagier, — rzekł pułkownik,

— To mój wuj, — dodał syn.

— Dopiero niedawno dowiedzieliśmy się o jego śmierci, — mówił dalej pułkownik. — Dziś rano otrzymałem list od sir Williama, mego brata, w którym donosi mi o tej bolesnej stracie, która nas dotknęła, i wspomina mi zarazem, że moja siostrzenica przybyła do Anglii i bawi przy nim już od kilku tygodni.

— Więc miss de Vere nie mieszka w Londynie! — zawołał Miran, a głos jego zadrżał, pomimo że usiłował wymówić z zimną krwią to zapytanie. Szczęściem, że ci, do których zwracał mowę, nie postrzegli wcale jego pomieszania.

— Nie, zostaje w zamku Carrow.

Indyanin i jego mentor spojrzeli na siebie wzajemnie.

— Jak się pan będziesz widział z miss de Vere, — rzekł potem do Waltera Mowbray, — chciej oświadczyć jej pełne uszanowania pozdrowienie od dawnego przyjaciela.

— Obawiam się, — odparł młody Anglik, — żeś pan złego sobie obrał posłannika. Nie widziałem nigdy mojej kuzynki; lecz jeżeli mi się sposobność zdarzy, nie omieszkam powiedzieć jej, że ma w Anglii o jednego przyjaciela

więcej, niż się domyślać może.

Uśmiech, z jakim teraz Miran podziękował młodemu Mowbray'owi, nie był już wcale wymuszonym. Lżej mu się zrobiło na sercu...

— A cóż, — spytał następnie z cicha swego poważnego towarzysza, wziąwszy go pod ramię i przechadzając się wśród przepełnionych gośćmi salonów, — czym dobrze się znalazł?

— Przewybornie!

Indyanin nie zepsuty jeszcze cywilizacyą, uczuł się upokorzonym tą pochwałą, otrzymaną za pierwszy popis w nieszczerości.

Niezadługo po tej rozmowie z pułkownikiem i jego synem, Miran i Khan powrócili do swojego mieszkania, które zajmowali w jednym z najwykwintniejszych hotelów Londynu.

Nazajutrz z rana Khan zapowiedział młodemu Indyaninowi, że wyjeżdza na trzy dni.

— Trzy dni! — zawołał Miran.

— Potrzebuję tyle czasu, aby się udać do Carrow-Abbey i wrócić ztamtąd, — rzekł tajemniczy przyjaciel. — Mówiłeś mi, że masz sposób porozumienia się z ayą?

— Istotnie.

— To dobrze. Po trzech dniach ujrzysz mnie z powrotem. Gdyby pułkownik Mowbray lub jego syn, chcieli cię odwiedzić w czasie mej niebytności, masz ich przyjąć niezwłocznie. Gdyby cię zachęcali do gry, miej się na ostrożności. Nie lękam się wszelako, abyś się dał oszukać łatwo... wzrok twój skorszy jest, niż ich ręce...

— Gdybym ich schwytał na szalbierstwie w grze?

— Byłoby to z korzyścią dla ciebie w razie, gdybyś miał świadka.

— A gdybym nie miał żadnego?

— Byłaby to niezręczność, bo naraziłbyś się tylko na nieprzyjemności bez pożytku.

— Takaż to jest Anglia! — zawołał Miran sam pozostawszy. Otóż-to obyczaje tego narodu, który ujarzmił Indye, zburzył sto tronów, dla postawienia innego, daleko despotyczniejszego, wygnał z ich świątyń Brahmę i Wisznu, by na ich miejscu czcić złoto, swe żółte bożyszcze!... Ludzkość, jaka to dziwaczna tajemnica! — dodał z westchnieniem, — a poeci słusznie mówią, że z błota ulepiona. Gdyby była z twardszego pierwiastku utworzoną, nie potrafiłaby nigdy przyjąć tak potwornych wrażeń.

Za chwilę później, zaczął myśleć o ukochanej towarzyszce młodości, a chmura ciężąca nad jego umysłem, ustąpiła miejsca pogodnemu uśmiechowi i nadziejom szczęśliwej przyszłości...

VI.

Wychodząc z parku zamkowego, Henryk Ashton udał się błoniem, gdzie się odbywały jego ranne przygody przy poznaniu Elleny; miał zamiar przenocować na plebanii; wspomnieliśmy już dawniej, że uważał się tam jak w domu, podobnie jak na folwarku swego stryja.

Pierwszy to raz w życiu zakosztował czaru tego towarzystwa, z którego podług obyczajów istniejących w Anglii, nizkie jego urodzenie i przesądy świata, zdawały się go wykluczać. Napawał się tą atmosferą, a umysł jego był pogrążony w tym zachwycie, który więcej jego serce niż głowę opanował.

Gdy tak powoli postępował w zamyśleniu, przywodząc sobie spojrzenia i słowa zachowane w pamięci, a raczej może w głębi serca, — marzenia jego przerwał nagle głos poważny, życzący mu dobry wieczór.

Nie spostrzegł był nawet zbliżenia osoby, która do niego przemówiła.

— Dobry wieczór, — odrzekł i chciał minąć nieznajomego.

— Przepraszam, że cię zatrzymuję młodzieńcze, — odezwał się jeszcze obcy, — ale możebyś mi pan raczył wskazać budkę stróża przy Carrow-Abbey? Już tyle lat upłynęło, jak ostatni raz zwiedzałem te miejsca, żem zapomniał drogę prawie.

Na to zapytanie młody Ashton podniósł oczy.

Pytający go, o ile w ciemnościach dojrzeć można było, był mężczyzna wysokiego wzrostu, silnej budowy, mogący liczyć pięćdziesiąt lat wieku. Długa kapota osłaniała go całkiem i mimo letniej nocy, dolna część twarzy kryła się w fałdach szalu, okręconego w około szyi; kapelusz z szerokiemi kresami spuszczony był nad czołem; słowem, zdawało się, jakby się lękał być poznanym. W głosie nieznajomego przebijało się coś takiego, co młodego człowieka dziwnie zastanowiło. Pewny był, że już słyszał te dźwięki, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie i kiedy. Był to niby ton znany, swojski, który zaraz poznajemy, nawet po długich latach rozstania.

— Jeżeli pan pozwolisz, — rzecze Henryk — zaprowadzę pana aż do drzwi.

Wniosek ten przyjął nieznajomy uprzejmie, a młodzieniec zwrócił się w stronę, zkąd dopiero co przyszedł.

— Domyślam się ze słów pańskich, — rzekł do niego, — żeś pan nie obcy w tej części Norfolku?

— Nie zupełnie, — odparł starszy jego towarzysz, — ale tyle lat już upłynęło jak tu byłem, że mógłbym uchodzić za obcego. Czy sir William Mowbray mieszka zawsze w zamku?

— Już od lat piętnastu nie oddala się z niego.

— To rzecz dziwna!

— Wcale nie, jeżeli mu z tem wygodnie.

— Zdaje mi się, że przy swoim majątku i wysokiem urodzeniu, powinienby w świecie bywać.

— Może nim gardzi, albo też się przekonał, że majątek i wysokie stanowisko, nie są dostateczną rękojmią szczęścia.

— Nie, bez wątpienia; świat żąda innych jeszcze zalet od tych, którzy nim chcą rządzić, lub być jego ozdobą. Stał się więcej wymagającym, jak za czasów mojej młodości. Pamiętam, że wówczas człowiek posiadający takie nazwisko i majątek, jak sir William, byłby został bożyszczem jego. Widać, że wolał sobie obrać życie pustelnika.

Chociaż świadomy dokładnie powodów, dla czego baronet odsunął się od świata, młodzian nie chciał jednak wchodzić w szczegóły tak drażliwego przedmiotu. Troski właściciela Carrow'skiego zamku nawet dla wiejskich gadułów były rzeczą świętą, nietykalną. Dla tego też zmienił nagle ton rozmowy, pytając swego towarzysza, czy znał którą z rodzin miejscowych, zamieszkałych we wsi.

— Z bliska nie znałem nikogo, — odpowiedział nieznajomy, — lecz przypominam sobie niektóre nazwiska mieszkańców ówczesnych. Naprzykład między innemi doktora Manuela.

— Już temu lat czternaście, jak umarł. Doktor Orine, nasz zacny rektor, jest jego zastępcą na plebanii.

— Rzecznik Impey.

— Ten żyje dotąd, — rzekł obojętnie Henryk Ashton, — czy pragniesz pan odnowić z nim znajomość?

— O, wcale nie, — odpowiedział tamten z uśmiechem, — jeżeli mnie pamięć nie myli, był to intrygant i krętacz, który lubiał mięszać się do cudzych spraw, nie zaniedbując przy tem własnych; jeżeli nie zeszedł z drogi krętarstwa i procesów, jaką iść zaczął i to z wielkiem powodzeniem. prawnik Impey musi być dziś bogatym człowiekiem.

— Jest istotnie majętnym, i widzę, żeś go pan dobrze poznał.

— Jeszcze tylko jedno nazwisko znane mi w tej okolicy; jest to nazwisko męża zacnego i poczciwego, którego żywot jak strumyk spokojny, obcy wszelkim nawałnicom, w zaciszu upływać musiał; Ashton, włościanin i dzierżawca znacznego folwarku...

— To mój stryj! — zawołał młodzieniec radośnie, bo jego serce przywiązaniem tchnące dla opiekuna, doznawało najżywszego zadowolenia, jeżeli słyszał, że kto należycie ocenia zacny i szlachetny sposób życia i myślenia jego ukochanego stryja.

Te słowa: mój stryj! dziwne sprawiły wrażenie na nieznajomym. Zadrżał, i chwytając ramię Henryka, zaczął przypatrywać się rysom jego twarzy.

— Mój Boże! — zawołał potem, — jakże to czas uchodzi!

Henryk Ashton nie umiał sobie wytłumaczyć, dla czego ton mowy, więcej jeszcze niż sposób obejścia nieznajomego tak go wzruszył. Wyrazy, które wymówił, zdawały się drgać w sercu młodzieńca, jakby tam budziły jakieś echo dawno uśpione.

— Zdaje się, że mnie pan znasz?—zapytał.

— Nie! tak jest!... przypominam sobie, żem cię widział dzieckiem, odwiedzając po raz ostatni mego poczciwego starego przyjaciela.

— Ucieszy się, gdy pana zobaczy, bo on nie jest z rzędu tych ludzi, co zwykli zapominać, z kim się kiedyś serdecznie ściskali. Jutro raniutko będę w dworku; jakże mam mu nazwać tego, któregom spotkał?

— Mniejsza o to! pewnie sobie nie przypomni osoby z tem nazwiskiem! — odpowiedział z westchnieniem towarzysz Henryka. Już tak dawno nie widzieliśmy się!

— Uwłaczasz pan jego sercu i pamięci zarazem.

— I to być może.

— Przynajmniej go pan odwiedzisz?

— Nie przed rankiem!... — odrzekł cu-

dzoziemiec, unikając odpowiedzi dokładniejszej.— Niezawodnie do późna zatrzymam się w Carrow-Abbey... Daruj mi pan, że się ośmielę zrobić jeszcze jedną uwagę; nie czynię tego w zamiarze ubliżenia panu, ale pańskie obejście, ułożenie i sposób wysłowienia się, nie zdradzają wcale włościanina.

Wychowanek zacnego doktora Orine wyjaśnił mu szczęśliwe okoliczności, które były powodem, że mógł otrzymać wykształcenie wyższe nad stan swój.

— Masz pan niezwykłe szczęście, — zauważał nieznajomy, — to rzadko się zdarza, aby traf ślepy wynagrodził niesprawiedliwość świata!

— Niesprawiedliwość?

— Tak jest, albo fatalizm, nazwij to jak chcesz, który skazuje umysł do zupełnej bezczynności...

Tymczasem doszli do domku odźwiernego. Nieznajomy pożegnał swojego towarzysza, dziękując mu grzecznie, przy czem uścisnął dłoń jego czulej, niż na to jego mała przysługa zasługiwała.

Idąc przez błonie, Henryk Ashton stawał po kilkakroć, aby się obejrzeć za swoim nieznajomym towarzyszem. Człowiek ten zatrzymał się przed budką, zwracając oczy ku niemu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z ŻYCIA ZWIERZĘCEGO.

Najbardziej budową do człowieka zbliżone są małpy, umią go doskonale naśladować, nie pojmując dobrze nawet swej czynności. N. p. małpa naśladując golenie swego pana gardło sobie poderznęła. Buffon, sławny przyrodnik francuzki, miał sposobność jednego gorylla z blizka uważać. „Postać jego, — mówi tenże, — była dosć smutna, chód poważny, ruch umiarkowany, charakter słodki i bardzo różny od małp zwyczajnych; złośliwość, swawola i niecierpliwość, były mu obce. Na znak dany był posłusznym, gdy inne kijem zmuszać potrzeba. Widziałem to zwierzę, jak podając rękę odwiedzającym odprowadzało, chodziło z nimi poważnie; jakby należąc do towarzystwa; widziałem, jak siedział przy stole, rozwijał serwetę, obcierał wargi, nalewał napój do szklanki, trącał się z sąsiadami, gdy był do tego wezwany, a to wszystko tylko na znak swojego pana, a czasem sam z siebie. Nikomu nic złego nie uczynił, nawet ostrożnie się zbliżał, lubil się pieścić, najbardziej lubił cukierki i wszyscy mu je dawali. “ — Pod względem atoli tej zmyślności przewyższają je jednak psy, konie i słonie.

Już sama fizyognomia zdradza u wielu zwierząt ich cechy i przymioty. Tak np. głowa lisa oznacza powszechnie znaną i charakterystyczną jego przebiegłość. Głowa wołu z zachmurzonemi, często krwią zaszłemi oczami oznacza jego niedostępność i łatwo wybuchający gniew i upór. W głowie psa i słonia odbija się roztropność i przywiązanie; głowa konia uzmysławia szlachetność; koty swemi rozprutemi oczami świadczą o ich chciwości krwi i zdradliwości.

Fizyognomia jednego i tego samego zwierzęcia ssącego jest zdolna różnego rodzaju wrażenia uzmysłowić stósownie jak nimi kierują uczucia duchowe, miłość lub nienawiść, odwaga lub bojaźń, radość lub smutek. Świecenie się ócz, strzyżenie uszami lub ich obwisłość, machanie ogonem, podwijanie go pod spód ciała itp. są niekłamanymi oznakami życia duchowego.

Pomiędzy pojedyńczemi osobnikami tego samego gatunku, zachodzi wielka częstokroć różnica np. między szlachetnym arabskim rumakiem a żydowską szkapą, roztropnym pudlem i gnuśnym mopsem! Myśliwi umią poznać, który z psów większem obdarzony pojęciem i zmyślnością. Jeden słoń więcej okazuje zastanowienia i roztropności jak wiele innych jemu podobnych. — Że to wszystko jest wypływem wykszałcenia mózgu, nie podlega żadnej wątpliwości.

Najroztropniejsze zwierzę ssące, słoń, ma około dziewięciu funtów mózgu. W trąbie swej ma najdelikatniejszy zmysł dotykania i narzędzie chwytne. Jeżeli się człowiek zajmie takiem zwierzęciem, to może dopiąć wielkich skutków i znacznie przyczynić się do rozwinięcia jego szlachetnych zdolności. Ale wszystko przedewszystkiem trzeba odnieść do charakteru zwierzęcia i wpływów, jakich doznaje ze świata zewnętrznego. Z własnego popędu nie byłby zdolnym znany pies Barry z góry św. Gotharda, do tak ludzkich czynności z poświęceniem własnego życia, jakiem bez zaprzeczenia było odkopywanie zaginionych i zbłąkanych podróżnych z zasp śniegowych, częstokroć nad bezdennemi znajdujących się przepaściami. Tak samo nie moglibyśmy bez tresowania doprowadzić do tego, aby z natury nieprzyjazne sobie zwierzęta jak kot, mysz, pies i ptak wspólnie z jednego naczynia jadły, a co bardzo często daje się widzieć u przejezdnych komedyantów i w cyrkach.